

Rolbiecki, Waldemar

Druga strona medalu, czyli - doceńmy nieprofesjonalistów

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 15/4, 810-812

1970

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Waldemar Rolbiecki

DRUGA STRONA MEDALU, CZYLI — DOCEŃMY NIEPROFESJONALISTÓW

Powyższe wystąpienie docenta Michała Haneckiego, zawodowego historyka medycyny, budzi we mnie pewne refleksje i obawy.

Z jego postulatami większej troski o naukowe wartości publikowanych prac z dziedziny historii medycyny właściwie całkowicie się zgadzam. Postulaty te można by zresztą rozciągnąć także na inne dziedziny historii nauki i techniki, gdyż i w nich sporo ogłaszanych drukiem prac pozostawia wiele do życzenia. Nie będę więc polemizować z docentem Haneckim.

Obawy budzi natomiast najłatwiejszy sposób, którym te słuszne postulaty dałoby się realizować, lecz którym realizować ich nie należy. Wiadomo bowiem, że takie najłatwiejsze sposoby niejako same narzucają się realizatorom wielu słusznych idei (bo zwalniają ich od większego wysiłku), lecz bardzo często przynoszą w rezultacie więcej szkody niż pożytku. W tym wypadku takim najłatwiejszym, a zgubnym sposobem byłoby zwykle niedrukowanie, odrzucanie, pomijanie, niezauważenie historycznych prac tzw. amatorskich, nie odpowiadających wysokim standardom działalności naukowej.

Spółczeństwa naszego nie stać na kształcenie i utrzymywanie bardzo licznych zastępów zawodowych historyków nauki i techniki. Natomiast tematów, które ze względu na ich społeczno-naukową doniosłość warto by w zakresie historii nauki i techniki podjąć i możliwie jak najlepiej opracować, jest sporo — o wiele więcej niż może to zrobić kadra zawodowych, w pełni wykwalifikowanych historyków. Być może, iż wystarczy ich, by — jak pisze doc. Hanecki — „oczyszczyć czasopisma z chwastów ignorancji”, ale na pewno nie wystarczy, by „chwasty” te w zadawalającym stopniu zastąpić własnymi szlachetnymi uprawami. Historia nauki i techniki, w swym obcym stadium rozwoju, o wiele mniej niż większość innych dyscyplin naukowych (w tym także dyscyplin historycznych) może poprzestawać na wysiłkach swych zawodowych pracowników, jeśli chce sprostać ciężącym na niej zadaniom społecznym. Musi nie tylko korzystać z pomocy nieprofesjonalistów, lecz wręcz o nią zabiegać. Dotyczy to zwłaszcza dwu dziedzin: historii poszczególnych specjalności naukowych oraz historii poszczególnych placówek naukowych. Ostatnio, w latach 1969 i 1970, zaobserwować mogliśmy duże nasilenie prac z tych dziedzin, podejmowanych przez historyków-ochotników z okazji przypadających na te właśnie lata srebrnych i złotych jubileuszów różnych towarzystw naukowych, instytutów badawczych i innych instytucji. Wiele z tych prac, mimo pewnych usterek technicznych (nieraz nawet społecznych) zasługuje na pochwałę za podjęcie i co najmniej dostateczne roz-

wiązanie ważnych i pilnych ze społeczno-naukowego punktu widzenia zagadnień, które długo jeszcze musiałyby czekać na podjęcie ich przez historyków zawodowych — może aż tak długo, że do tego czasu zostałyby zniszczone odpowiednie źródła (jak stało się to np. ze źródłami do historii budowy warszawskiej Trasy W-Z).

Wniosek praktyczny z tych stwierdzeń jest następujący: Walczmy o podniesienie poziomu publikacji, no i oczywiście samych prac badawczych w zakresie historii nauki i techniki. Walcząc o to i występując z postulatami w tej sprawie, troszczmy się jednak, by nie odstraszyć, nie odpedzić historyków-ochotników od ich warsztatów. Przeciwnie, starajmy się nawet zachęcać ich do pracy i pomnażać ich zastępy, wiedząc, że pracy i chleba starczy dla nas wszystkich. Co więcej, starajmy się po koleżeńsku pomóc im podnosić techniczny, metodologiczny poziom ich amatorskiej działalności historiograficznej i tym samym jej naukową wartość.

Pomoc ta może mieć wiele postaci.

Pierwsza i podstawowa — to po prostu „publiczne zauważanie”, ocenianie, recenzowanie tych amatorskich prac — choćby najzwyczajniejsze, choćby nawet surowe, ale zawsze życzliwe. Sądzę, że wobec ujawnionej przez doc. Strojnowskiego i doc. Haneckiego sytuacji w dziedzinie publikacji z historii medycyny, wiele dobrego przyniosłaby wnikliwa, nie nazbyt emocjonalna krytyka konkretnych publikacji, tj. z wyraźnie sformułowanym indywidualnym adresem, przeprowadzona przez zawodowych, kwalifikowanych historyków medycyny.

Po drugie dobrze byłoby, aby ośrodki zawodowo uprawianej historii nauki i techniki zajęły się również poradnictwem metodologicznym dla historyków-ochotników, traktując je jako jedno z ważnych swoich obowiązków. Dotychczas ta, bynajmniej nie łatwa, praca (wymagająca przede wszystkim sporo taktu i cierpliwości) nie jest prowadzona prawie zupełnie. Osobiście chciałbym bardzo, aby jednym z takich ośrodków poradnictwa stała się redakcja „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki”, która zresztą podjęła już w tym kierunku pewne — co prawda bardzo skromne — próby.

Jednak współpracy zawodowych i niezawodowych historyków nauki i techniki, tj. w praktyce głównie pracowników nauki innych niż historia specjalności, nie chciałbym bynajmniej rozwijać jedynie na zasadzie pouczenia ochotników przez zawodowców. Przekonany jestem bowiem, iż w obecnym stadium rozwoju historii nauki i techniki także jej rdzenna zawodowa kadra pracowników może wiele nauczyć się od owych amatorów, a przede wszystkim rozszerzyć pod ich wpływem własne horyzonty poznawcze. Nie chcę posuwać się tak daleko, jak jeden z alianckich wodzów w II wojnie światowej, generał Dwight David Eisenhower, który twierdził, że na ogół zawodowcy ustępują amatorom (twierdzenie to odnosił on zwłaszcza do dwu sztuk: sztuki wojennej i jeszcze jednej, którą boję się tu wymienić), ale przecież właśnie historia nauki uczy, że do rozwoju pewnych dyscyplin naukowych niejednokrotnie wybitnie przyczyniali się przybysze z innych dyscyplin — że powołałam się tu choćby na przykład Ludwika Pastera, chemika w początkach swojej kariery, który później położył tak wielkie zasługi w naukach biologicznych, ale który także, rozpoczynając swe pamiętne prace nad infekcyjnymi chorobami jedwabników, po prostu skompromitował się ignorancją zjawiska metamorfozy w rozwoju osobniczym owadów.

Dlatego warto by pomyśleć o jakichś organizacyjnych, instytucjonalnych formach koleżeńskej współpracy zawodowców i amatorów w naszej specjalności naukowej. Powinny to jednak być formy o wiele bardziej swobodne, wolne zarówno od hierarchicznych zależności jak i od ogólnopaństwowego planowania, niż tzw. zespoły problemowe i komisje przy państwowych instytucjach naukowych. Formą taką mogłoby się stać Polskie Towarzystwo Historyków Nauk i Techniki, Sądzę, że sprawa powołania takiego właśnie towarzystwa — skupiającego zarówno zawodowych jak i ochotniczych pracowników historii nauki i techniki — dojrzała już do przemyślenia i przedyskutowania.